

wifi

NR 8 2020/2021

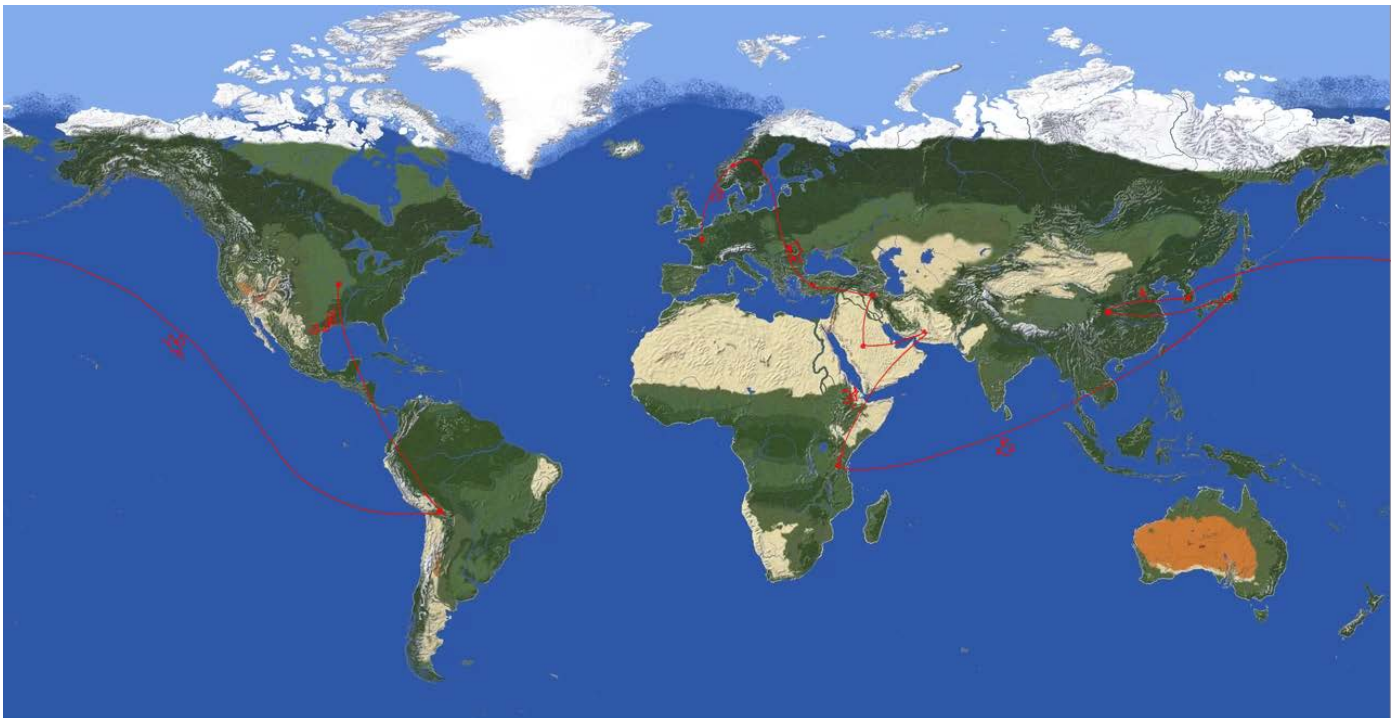


W 10 artykułów dookoła świata!

Część z Was zaczęła już wakacje, reszta z niecierpliwością czeka końca roku szkolnego. Słońce pojawia się coraz częściej i grzeje coraz mocniej. Z tego powodu redakcja postanowiła zabrać Was w krótką podróż po kilku wybranych krajach. Najpierw przyjrzymy się francuskiej literaturze, potem zatrzymamy się na chwilę w norweskiej kawiarni, by zaraz posłuchać trochę szwedzkiej muzyki. Ze Szwecji przeniesiemy się na Bliski Wschód, a potem poznamy jak wygląda życie w Tanzanii. Następnie odwiedzimy japoński teatr oraz chińskie pola herbaty. Przyjrzymy się też sytuacji kobiet w Korei Południowej, skąd udamy się do Boliwii, a potem do USA, gdzie zakończymy naszą wycieczkę. Bon voyage!

Redaktor naczelny

Kinga Krutul



Źródło: planetminecraft.com



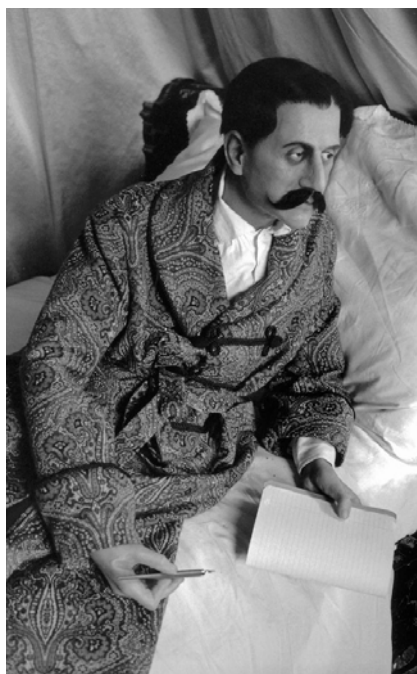
Francuska lekcja sceptyzmu, ale nie tylko...

Jesteśmy w Illiers-Combray, półtorej godziny jazdy samochodem z Paryża na południowy zachód. Stoimy na małym podwórku dwupiętrowego, pokrytego dachówką, domu z oknami o niebieskich futrynach. To tu, gdy miejscowość nosiła jeszcze nazwę jednoczłonową, mieszkał wuj przyszłego pisarza, innowatora i arcyministra prozy europejskiej XX wieku – Marcela Prousta.



Źródło: blogspot.com

Budynek stanowił pierwowzór powieściowego domu ciotki narratora *W poszukiwaniu straconego czasu*; po latach został zamieniony w muzeum pisarza, zaś samo miasteczko Illiers doczekało się poszerzenia miana o nazwę fikcyjnego Combray. W domu możemy zwiedzić najslawniejsze w literaturze światowej sypialnie, zobaczyć łóżko ciotki Leonii, w którym leżąc, gościła przyjaciółki i miejscowego księdza oraz, z którego nieustannie oglądała ruch uliczny, stanowiący istny spektakl dla tak wytrawnej plotkarki. Ale nie jest to obiekt równie ciekawy jak łóżko głównego bohatera, porte-parole Prousta. Opis tego mebla oraz wieczornych zwyczajów chłopca otwiera pierwszy tom *W stronę Swanna*, książki inaugurującej siedmioczęściowy, powieściowy cykl.



Źródło: wyborcza.pl

Co sprawia, że rozpisana na ciągnące się wersami zdania, opowieść o życiu, odtworzona ze wspomnień, które powróciły po zjedzeniu ciastka zamoczonego w herbacie, stała się bestsellerem i wciąż, po ponad stu latach, ma dla nas wiele do zaoferowania? Przede wszystkim nowa i wciąż pojemna forma – metoda snucia wątku przeplatane bogatymi dygresjami. Także powołanie nowego bohatera – czasu, wydłużającego się w nienaturalny sposób, właśnie jego poszukiwanie stanowi cel pisania dzieła, cel osiągnięty. To wreszcie obraz społeczeństwa, pogrążonego w snobizmie rozumianym jako najzwyczajsza złuda, której ulec może i arystokrata, i służąca. Proust urodzony w inteligenckiej rodzinie, nazywany niekiedy światowcem, całe życie zbierał materiał do swojej powieści. Także w trakcie gorączkowego pisania, kiedy to wychodził czasami z obitego wyciszającym korkiem pokoju i nieogolony, ubrany w narzucony płaszcz zjawiał się na przyjęciu i obserwował gości, dowiadywał się potrzebnych mu szczegółów. Stworzył dzięki temu wizję „teatru duszy człowieka”, poddanego mniejszym i większym namiętnościom. Dążenie do takiego ujęcia jest zainspirowane Balzakovskim światem *Komedii ludzkiej*.

Ponad 130 utworów powołujących do życia 2000 bohaterów tworzy studium ludzkiego gatunku. Prześiąknięte jest ono nie tylko wizjami pokroju tych z *Ojca Goriot*, utworu opowiadającego o intrygach mieszkańców zapyziałego pensjonatu, którzy pogrążają



się w moralnym rozkładzie, napędzanym walką o byt, pieniądze i prestiż społeczny. Poza dziełami obnażającymi ludzkie popędy, Balzak napisał też te o wymiarze filozoficznym i egzystencjalnym – niezmiennie cenne dla naszego myślenia o naturze naszego losu. Spośród nich wyróżnia się najznamienitszy *Jaszczur*, którego bohater, bliski samobójstwa, w tajemniczym sklepie otrzymuje propozycję przyjęcia materiału z inskrypcją, mówiącą, że jej posiadacz spełni każde swoje marzenie. Z tym warunkiem, iż materiał skurczy się, a gdy zniknie całkowicie – ten sam los spotka posiadacza. Zbędny wydaje się tutaj komentarz, wystarczy wspomnieć o Marii Janion, która historią *Jaszczura* motywowała tytuł swojej książki: *Żyjąc tracimy życie*.

Literatura francuska z takiej perspektywy zdaje się być pesymistyczna, by wzmocnić to wrażenie – kolejny przykład – *Obcy* Camusa. To tekst kultowy, od opublikowania znajdujący własne konteksty odczytań. Paradoksalnie umożliwia je prostota i sprawozdawczość stylu, oczyszczonego z literackości i metaforyki. Historia Meursaulta nie ma w sobie nic ze standardowej fabuły, a mimo to uderza czytelnika oraz, nie wiedzieć, w którym momencie, sprawia, że bohater staje mu się bliski, mimo swego nihilizmu i bezuczuciowości.

Największe dzieła odbierają nam kolejne złudzenia i pozostawiają bezradnymi wobec wyboru słusznej postawy. Ratunkiem mogą okazać się teksty myślicieli, Francja wychowała ich wielu. Niezmiennie aktualne są *Próby* Montaigne'a, przynoszące, poza lekcjami sceptycyzmu, naukę dotyczącą postępowania i moralności. Warto zacytować jedną, choć prostą, to mądrą: „Moje życie pełne było strasznych nieszczęść, z których większość się nie zdarzyła.” – to trochę jak remedium na polskie popeerelowskie narzekanie. Drugim nauczycielem myślenia może być Wolter, twórca m.in. *Kandyda*, powiastki o tytułowym młodzieńcu, tracącym złudzenia pod wpływem otrzymywanych co chwila razów kijem i oglądanych autodafe. W połowie utworu o optymizmie powie, że jest to „obłąd dowodzenia, że wszystko jest dobrze, kiedy nam się dzieje źle”.

Niesprawiedliwością byłoby pisanie o literaturze obcej bez chociażby wspomnienia tych, którzy ją przetłumaczyli, a tym samym przepisali na nowo i przyswoili polskiemu czytelnikowi. W tym gronie wyróżnia się wybitny Tadeusz Boy-Żeleński, na którego przekładach arcydzieł francuskich wychowują się kolejne pokolenia Polaków. Z powyższych autorów nie tłumaczył tylko Camusa, ale mógłby to zrobić, gdyby dożył.

Po francuskiej lekcji sceptycyzmu i pesymizmu nikt nie powinien czuć się źle. Te postawy mogą być remedium na bezrefleksyjnie promowany przez media i marketing optymizm. Bowiem jest możliwe, że rację mieli egzystencjaliści (do których nie chciał należeć Camus!) mówiący, że szczęście kryje się w posiadaniu świadomości własnej egzystencji i nieuniknionego jej zakłamania. Chociaż moda na golfy i przesiadywanie w kawiarniach może się wydać trochę passé, modne powinno być myślenie i wątplenie, czasem mówienie „nie wiem”. Paradoksalnie, być może, gdy staną się one trendami, coraz łatwiej będzie nam się uśmiechać. Z tą nadzieją możemy wracać z naszej podróży do domu.

Jakub Kłoz

Źródło: britannica.com



W Krainie Dziesięciu Tysięcy Jezior

Ojej, jakie to szczęście, że zdążyłam się schować do kawiarni, zanim się rozpadało. Zajęłam miejsce w ciepłym kącie, z którego mogę obserwować, jak szare strugi deszczu łączą się z niebieską taflą rzeki. Tutaj wszędzie jest chłodno i wilgotno, nawet jeżeli nie pada – w końcu Finlandia jest nazywana Krajem Dziesięciu Tysięcy Jezior.



Zródło: makulscy.com

Mimo że zdecydowanie wolę cieplejsze klimaty, cieszę się, że tu przyjechałam. Obecnie zatrzymałam się w Porvoo, niewielkim miasteczku, położonym jakieś pięćdziesiąt kilometrów od Helsinek. W ogóle mam wrażenie, że w Finlandii jest jakoś spokojniej niż u nas – że jest mniej zgiełku, hałasu, śmieci (na pewno mniej śmieci!) i tak dalej. Może dlatego, że mieszka tu mniej ludzi? Nie dziwię się, w końcu nie każdy ma ochotę mieszkać w kraju, gdzie zimy są takie długie, ostre i prawie zupełnie pozbawione słońca!

No dobrze, dość już tego narzekania. Zwłaszcza że i tak nie będę w nim lepsza od Finów (a zwykle się myśli, że to my Polacy jesteśmy okropnymi marudami...). Pamiętam, jak pociąg, którym miałam jechać do Naantali, spóźnił się o dziesięć minut. Wszyscy wokół mnie zaczęli okropnie narzekać! To znaczy, nic nie rozumiałam, ale z ich zdenerwowanych min wywnioskowałam, że miotają obelgi na okropny, spóźnialski system państwowych kolei z taką zajadłością, jakiej wstydziłyby się nawet nasze największe zrzędy. A wszyscy na świecie są przekonani, że ludzie ze Skandynawii mieszkają w siódmym niebie i nie mają prawa narzekać na nic...

Zbliża się kelnerka, miła pani z blond włosami i w fartuszku w ludowe wzory. Zaczyna coś szybko mówić po fińsku, czego oczywiście nie rozumiem. Moją nie najlepszą, szkolną angielszczyznę wyjaśniam, że nie umiem po fińsku i proszę o kawę oraz bułeczki *korvapuusti* (zdążyłam już w nich zasmakować w czasie pobytu w Finlandii oraz uznać je za najlepsze drożdżówki na świecie). Za dziesięć minut dostaję filiżankę parującego płynu, co ma *czarność węgla*, *przejrzystość bursztynu* (ach, to skrzywienie zawodowe! Czasem mam



wrażenie, że myśleć literaturą jest *bardzo* niedobrze!) oraz ciepłutkie, pachnące cynamonem, urocze klocuszki ciasta uformowane w specyficzny kształt ściśniętych trapezów. Tak, kuchnia fińska jest naprawdę dobra... może poza cukierkami *salmiakki*, które smakują jak słona pasta do zębów?

Tak... patrzę przez okno i podziwiam widok za nim. Finlandia podoba mi się coraz bardziej. Nawet w tym deszczu za oknem jest coś, co pociąga, denerwuje i fascynuje zarazem. Nie wiem, czy to tak oddziałuje tylko urok nowości i inności, czy naprawdę w tym kraju jest coś przyciągającego jak magnes? Dotychczas widziałam tę jej stronę, którą odsłania turystom – dziewiczą przyrodę, niewielkie, czysto wysprzątane miasta z czerwonymi domkami, mnóstwo zabytków z czasów średniowiecznej szwedzkiej dominacji – lecz jak wygląda ta druga strona? Ta inna, wewnętrzna, której zwykły łapacz zdjęć po prostu nie zauważy w pogoni za lepszym ujęciem? Wydaje mi się, że już trochę ją poznałam. Miałam okazję pobyc trochę w małych miasteczkach (tutaj, w Porvoo, śpię u pewnej starszej pani), gdzie można zobaczyć Finów od tej mniej oficjalnej strony. Są tacy milczący i zamknięci w sobie... wiedzą, że na nikogo innego nie mogą liczyć w tym zimnym, surowym kraju. Potrafią długo siedzieć w milczeniu (nie to, co my!). I nigdy, ale to nigdy się nie poddają. Za to ich podziwiam.

I podziwiam ich kulturę – wytwór rzeczywistości, gdzie zimy są długie i mroźne, woda czysta, a lasy pełne sosen, błota i komarów (a tak! Fińskie komary są najgorsze! Pogryzły mnie chyba całą, kiedy szukałam jagód w parku narodowym Lemmenjoki). Jest taka piękna, nostalgiczna, napełniająca tęsknotą... sama nie wiem konkretnie za czym. Ale wiem, że kiedy słucham piosenek *Värttina* albo popularnego tutaj heavy metalu, to mam wrażenie, że odpływam w inny świat. Taki jeszcze sprzed naszej wspaniałej rzeczywistości postindustrialnej. Może kiedyś wrócimy do tego stanu. Może. Kiedyś. Ale potrzeba czegoś więcej, żeby takie marzenia się spełniły. Póki co, siedzę sobie w przytulnej fińskiej kawiarni, obserwując, jak deszcz z wolna przestaje padać za oknem.



Źródło: werandaweekend.pl

O matko, te bułki są naprawdę dobre. Zastanawiam się, czy nie kupić kilku dla rodziny w Polsce – choć znając życie, pewnie zjem wszystkie w samolocie. Jaka szkoda, że nie stać mnie na całą cukiernię :)

Słowniczek:

Helsinki – stolica Finlandii

Porvoo – miasteczko znajdujące się ok. 50 km na wschód od Helsinek

Naantali – miasto, w którym znajduje się Dolina Muminków ;)

Korvapuusti – fińskie bułeczki cynamonowe (prywatnym zdaniem autorki faktycznie to są najlepsze drożdżówki na świecie :))

Salmiakki – cukierki wyrabiane z lukrecji z dodatkiem chlorku amonu, znane jako *słona lukrecja*

Lemmenjoki – największy park narodowy w Finlandii

Värttinä – fiński zespół folkowy

Julia Strankowska



Leve Sverige!

Jak zapewne zdążyliście zauważyć, napisałam już dwa artykuły o muzyce. Do trzech razy sztuka! Tym razem zabiorę Was do ojczyzny semli i Pippi Långstrump – Szwecji. Dla Szwedów muzyka jest ważnym elementem życia. Towarzyszy wielu imprezom takim jak dzień świętej Łucji, Święto Narodowe Szwecji czy choćby zwykłe spotkania towarzyskie. Oczywiście podejrzewam, że nie muszę tłumaczyć kim jest ABBA czy choćby Avicii, ale założę się, że mniej osób słyszało o Kencie czy Bathorym. Jak zatem ma się szwedzka estrada?



Wspaniale! Nie brakuje ani twórców solowych, ani zespołów. Czasem jednak wcale nie tak łatwo rozpoznać, którzy artyści pochodzą z północy. Dlaczego? Przeważająca większość Szwedów nie tworzy w ojczystym języku, a po angielsku (kiedy pierwszy raz zetknęłam się z Ghostem czy Sabatonem, nawet nie przyszło mi przez myśl, że to Szwedzi). Sami artyści są uznawani na całym świecie (nic dziwnego – sześć razy wygrali *Eurowizję!*) i współpracują z wieloma liczącymi się gwiazdami, na przykład z Britney Spears, Taylor Swift, ale także Rammsteinem. Nie podlega dyskusji, że najpopularniejszym nurtem w Szwecji jest pop i widzimy na to dowody w postaci niezliczonych numerów. Odważę się jednak stwierdzić, że na drugim miejscu możemy postawić metal, na którym zamierzam się skupić.

Skąd taki pomysł? Choćby stąd, że właśnie w Szwecji wydano orzeczenie o niepełnosprawności związane z... uzależnieniem od muzyki heavy metalowej! Pochodzący z Hässleholm Roger Tullgren zainteresował się tym gatunkiem po raz pierwszy, gdy jego starszy brat w 1971 roku zapoznał go z płytą Black Sabbath. A potem poszło z górki. Sam przyznał, że w 2010 roku był niemal na trzystu koncertach, co oczywiście wiązało się z opuszczaniem pracy, a w rezultacie szybkim zwolnieniem. Mężczyzna przeszedł na zasiłek, by po jakimś czasie (i kontakcie z trzema psychologami) uzyskać odpowiedni papier i świadczenia inwalidzkie. Potem zatrudnił się w restauracji na stanowisku pomywacza, gdzie pozwolono mu ubierać się jak dusza zapragnie i słuchać ulubionej muzyki. Szalone, co?



Źródło: rockmetalnews.pl

Spotkałam się kiedyś ze stwierdzeniem, że skandynawski metal (zwłaszcza death metal) charakteryzuje się jednym z najmocniejszych brzmień na świecie. Czy to prawda? Zależy od zespołu. Gdy przyjrzymy się scenie metalowej, a także rockowej, znajdziemy całą gamę przeróżnych podgatunków tej muzyki, wymieszanych ze sobą w najmniej oczekiwanych i niekiedy zaskakujących proporcjach. Słyszeliście kiedyś o viking metalu? Dopóki nie zaczęłam grzebać w szwedzkich nutach, też nie słyszałam. Za protoplastę gatunku uznaje się sztokholmski zespół Bathory (tak,



dobrze kojarzycie, wzięli nazwę od słynnej krwawej hrabiny) i jego płytę *Blood Fire Death* z 1988 roku. Głównie chodzi tu o nawiązania do wikingów i utrzymanie klimatu z przeszłości, oczywiście w charakterystycznym stylu. Niestety raczej nie uświadczymy czystego viking metalu, gdyż często łączy się go z folkkiem czy blackiem. Jeśli zaś chodzi o sam death metal, a może raczej melodic death metal (do którego rozwoju przyczynili się właśnie Szwedzi!), to poleciłabym bliżej przyjrzeć się zespołom takim jak Arch Enemy (gdzie obecny wokalista, a właściwie wokalistka – pochodząca z Kanady Alissa White-Gluz – wprowadza odświeżający powiew damskiej energii) oraz Dark Tranquillity (z pięknymi melodyjnymi solówkami granymi niejednokrotnie w zatrważającym tempie).

Oprócz samej muzyki ważnym elementem jest też image. Gdy o to chodzi, chyba nikt nie przebije zespołu Ghost. Grupa muzyków najbardziej znana jest ze swojej... anonimowości. Poza Tobiasem Forge'em, bardziej kojarzonym pod pseudonimami Papa Emeritus lub Cardinal Copia, nie znamy ani jednego członka zespołu – ani z nazwiska, ani z twarzy, gdyż na koncertach wszyscy występują w maskach. Nie muszę chyba dodawać, że zespół budzi ogromne kontrowersje. Już same logo niektórzy mogą uznać za obraźliwe, nie wspominając o całym teatralnym show, które odprawia się na scenie (i nie bez powodu używam tu słowa „odprawia”). Wokalista bez pardonu paraduje w najbardziej pasujących do okazji albach i ornatach z mitrą na głowie i niekiedy pastorałem w ręce, a instrumentalisci zakładają stroje przypominające habity, a jeśli nie - sutanny. Mimo tej otoczki, trzeba przyznać, że tworzą muzykę jedyną w swoim rodzaju, która obejmuje wiele gatunków rocka i metalu.



Źródło: muzyka.dziennik.pl

Jak powiedziałam na początku, szwedzka estrada ma się wysmienicie. Sprawdźcie, czy zespoły albo wokaliści, których słuchacie nie mają czegoś wspólnego z potomkami wikingów. A jeśli nie słuchacie szwedzkich wykonawców, to koniecznie zapoznajcie się choćby z tymi, których wspomniałam w tym artykule.

Kinga Krutul



Blisko czy daleko?

„Do odważnych świat należy” tego powiedzenia chyba nie trzeba nikomu tłumaczyć. Jednak niektóre części świata nawet odważni boją się odwiedzić. Czy słusznie? Postaram się wam przedstawić kilka ciekawostek, które mogą być przydatne podczas planowania podróży na Bliski Wschód.

Na początku powiedzmy sobie czym jest ten mityczny Bliski Wschód. Są to kraje położone w południowo-zachodniej Azji, leżące na styku Azji, Afryki i Europy. Region ten jest kolebką cywilizacji człowieka oraz trzech znaczących religii monoteistycznych: islamu, judaizmu i chrześcijaństwa. Panują tam specyficzne zasady, o których lepiej wiedzieć.

Przełamując stereotyp: rdzenna ludność Bliskiego Wschodu to nie tylko muzułmanie. Na tych terenach panuje ogromna różnorodność religijna. Znaczna część mieszkańców to chrześcijanie, ale występują tam także zoroastryjczycy, samarytanie, jazydzi. Koran nakazuje tolerancję dla wyznawców innych religii. Większość konfliktów występujących w tym rejonie nie ma podłoża religijnego, dlatego wybierając się w te strony nie musimy się obawiać prześladowań religijnych. Nie zmienia to jednak faktu, że dominującą ludnością jest ludność muzułmańska i trzeba to uszanować.

Kiedy słyszymy „muzułmanie” mamy przed oczami obraz kobiet zakrytych od stóp do głów. Prawdą jest, że islam nakazuje noszenie hidżabu, jednak nie jest nakazane przez prawo, chociaż zdarzają się wyjątki. Ostateczne zdanie o zakrywaniu ciała należy jednak do kobiet, które zwykle robią to z własnej woli, ponieważ zostały tak wychowane lub na prośbę męża lub rodziny. Pamiętajmy jednak, że wybierając się w tamte strony należy też dostosować się do obyczajów tam panujących i nie paradować w jak najkrótszych shortach, nawet jeśli będzie tam 40 stopni na plusie.

Jeśli masz ponad 18 lat i jesteś typem imprezowicza, powinieneś wybrać inny kierunek podróży. Otóż w krajach Bliskiego Wschodu panuje zakaz picia alkoholu. Jest to spowodowane dominacją religii muzułmańskiej. Alkohol jest dostępny tylko dla turystów w hotelach specjalnie dla nich przygotowanych. Podobnie jak w Polsce zabronione jest również spożywanie narkotyków. Jedyne używki z jakich korzystają tubylcy to papierosy i szisze.

W wielu krajach Bliskiego Wschodu homoseksualizm jest karany karą śmierci lub więzieniem, dlatego w tych krajach bardzo popularne są operacje zmiany płci. Jednak mimo konserwatywnych poglądów większości państw, ludność zamieszkująca te tereny posiada podobne upodobania co Europejczycy. W obu regionach panuje bowiem nacisk na naukę języka angielskiego, będącego do tej pory najważniejszym językiem komunikacyjnym na świecie. Dodatkowo mieszkańcy państw położonych na Bliskim Wschodzie są miłośnikami poezji. W Zjednoczonych Emiratach Arabskich organizowany jest co roku konkurs poetycki.

Mimo wielu kontrowersyjnych reguł i obyczajów panujących w tamtejszym świecie, uważam że warto odwiedzić kraje Bliskiego Wschodu i samemu zweryfikować podane przeze mnie przykłady. Jest to jednak obszar gdzie trzeba być ostrożnym, ale jeśli dostosujecie się do panujących tam zasad możecie z pewnością przeżyć niesamowitą przygodę.

Michał Mantur





Tanzański chłopiec

Tanzańczyk, ksiądz Ditrick Sanga, opowiada o swoim dzieciństwie, młodości i edukacji na kontynencie afrykańskim.

Zanim przejdziemy do tematu wywiadu mam do księdza pytanie, które zazwyczaj nasuwa się Polakom, gdy widzą obcokrajowca tak dobrze posługującego się naszym trudnym językiem – gdzie tak dobrze nauczył się ksiądz mówić po polsku i jak długo jest już ksiądz w Polsce?

W Polsce mieszkam już trzy lata. Języka polskiego uczyłem się przez Skype'a, gdzie miałem zajęcia z nauczycielką dwa razy w tygodniu po półtorej godziny. Miałem też okazję odwiedzać inną panią, która pomagała mi na przykład z czytaniem. Potem uczyłem się przez kontakty z ludźmi, rozmawiając. Staralem się też sam coś czytać, słuchać polskiej muzyki. Ważne jest to, żeby nie tylko nauczyć się języka, ale też używać go w praktyce; to bardzo pomaga, by uczyć się szybciej.

Nasi czytelnicy zapewne zastanawiają się, jak ksiądz tu w ogóle trafił, na czym polega księdza misja w Polsce?

Jesteśmy tu (wraz z księdzem z Argentyny, Juanem Carlosem), ponieważ wysłało tu nas nasze zgromadzenie. Jest to zgromadzenie misyjne; swoje domy, placówki mamy w różnych krajach na świecie. W Polsce, dokładnie w Warszawie, mamy jeden dom, a teraz wysłano nas tu, do Białegostoku. Kiedyś misje opierały się na ewangelizowaniu ludzi, którzy jeszcze nie znali Jezusa. Teraz ta ewangelizacja odbywa się w miejscach, gdzie Kościół jest i to w Nim możemy dzielić się charyzmatem misyjnym, a także szukać powołań – ludzi, którzy mogą angażować się na misjach – nie tylko do kapłaństwa, ale i na przykład przyszłych siostr zakonnych (nasz zgromadzenie ma także gałąź żeńską) czy ludzi świeckich. Pracujemy także z młodzieżą. Mamy w Polsce grupę, która nazywa się „Dzieło na misji”. Osoby należące do niej wyjeżdżały kiedyś do Etiopii, Mongolii, Argentyny. Niestety przez pandemię trudno zorganizować takie misje. Ale trwają na przykład spotkania przez internet. Czekamy, aż będziemy mogli wrócić do normalnego funkcjonowania.

Myślę, że po tym krótkim zapoznaniu możemy przejść do głównego tematu wywiadu. Jak wygląda szkoła w Tanzanii i ile średnio lat trwa edukacja?

Szkoła podstawowa w Tanzanii trwa siedem lat; lekcje odbywają się tam w suahili. Później mamy szkołę średnią, która trwa cztery lata i tam już uczymy się wszystkiego po angielsku, a suahili zostaje jako jeden z przedmiotów. Potem mamy dwa lata liceum (rozszerzenie szkoły średniej). Po tym czasie można iść na uniwersytet. Edukację zaczyna się w około siódmym roku życia. Na wsi jest to trochę trudniejsze niż w mieście, ponieważ niektórzy ludzie nie znają wieku swoich dzieci i trzeba czasami zgadnąć.



A ksiądz chodził do szkoły na wsi czy w mieście?

Ja uczyłem się na wsi. Tam też się urodziłem. Od klasy pierwszej do siódmej chodziłem do szkoły w jednej wiosce, a do szkoły średniej pojechałem do innego miasteczka i mieszkałem w internacie. Wracałem do domu tylko w czasie wakacji. Potem jak skończyłem tę czteroletnią szkołę pojechałem do innego miasta, które było w innym województwie, daleko od domu i tam też mieszkałem w internacie, a wracałem na wakacje.

W Polsce dzieci często mówią, że nie lubią chodzić do szkoły. Jakie nastawienie do niej mają dzieci w Tanzanii?

Jest inne, ale to z powodu tego jak wygląda życie. Bycie w szkole to jest piękna okazja. Niektóre dzieci nie mają możliwości iść do szkoły. Może kiedy są mali, to jeszcze nie potrafią tego doceniać, ale później zaczynają to rozumieć i dobrze się uczą. Nie wszyscy idą do szkoły średniej. Kto ma taką możliwość, to naprawdę uważam, że ją docenia. Angażują się, starają, aby mieć dobre wyniki, móc iść do liceum i do uniwersytetu.



Na jakie najchętniej kierunki wybiera się młodzież w Tanzanii? O jakich zawodach marzy?

Dużo można marzyć, ale według możliwości to najchętniej i najłatwiej jest być nauczycielem, bo łatwo można znaleźć pracę. Inne kierunki są trudne, bo ktoś może nie mieć możliwości rozwijania się w tym, w czym by chciał. Na przykład ktoś marzy, żeby być pilotem samolotu, ale nawet nie ma okazji widzieć samolotów, nie ma takich doświadczeń. Wtedy trudno jest o tym marzyć. Niektórzy chcą być lekarzami, ale to też trudne. Nie wszystkie szkoły mają wystarczająco nauczycieli, a taki kierunek jest wymagający; potrzeba odpowiedniej pomocy. Oprócz tego inni idą też na łatwiejsze kierunki, do szkół technicznych, na przykład szkół budowlanych, samochodowych itd.



A niektórzy idą do seminariów, prawda? Czy dużo jest teraz ku temu chętnych wśród młodzieży w Tanzanii?

Tak, tak. Teraz w Tanzanii jest potrzeba budowy nowego seminarium. Jest takie jedno seminarium na północnym zachodzie i tam okazało się, że jest za mało miejsca dla kleryków; czyli to znak powołania, że jest coraz więcej chętnych do bycia kapłanami.

Pomówmy jeszcze o samym dzieciństwie. Kiedy miał ksiądz kilka, kilkanaście lat, jakie były księdza ulubione zabawy? W co lubią bawić się dzieci w Tanzanii, jak spędzają czas wolny?

Jak byliśmy mali, graliśmy w piłkę, ale nie mieliśmy takiej prawdziwej piłki, jaką mają inni, takiej dobrze zrobionej. Nasza piłka, to chyba się nazywa szmacianka, była zrobiona z worków, woreczków złączonych



razem sznurami. I taka to była zabawa między dziećmi. Graliśmy też w chowanego. Z innych zabaw to pamiętam, że kiedyś była taka rzeka i tam była gleba, która łatwo się kleiła. Tam można było iść i z tego błota robić samochody i różne kształty. Gdy byłem mały to czas spędzałem też pasąc kozy. Z innymi dziećmi paśliśmy kozy i biegaliśmy za nimi, to była nasza zabawa. Pamiętam też, że będąc z kozami nauczyłem się robić ogień z patyków, bo gdy jesteś daleko od domu i tam nie masz zapalek, to trzeba wiedzieć, jak sobie radzić.

Będąc w temacie zwierząt, miał książdż jakieś zwierzątko domowe?

Tak, koty były u nas w domu. Większość ludzi w domu ma koty. A pies to z mojego doświadczenia zwierzę, które jest na zewnątrz. Nie wyobrażałem sobie, że pies może mieszkać w domu; psa widziałem zawsze na zewnątrz, a tylko kot był w domu. Oprócz tego hoduje się, jak już mówiłem, kozy, kury, świnie.

Czy zauważa książdż jakieś odmienne zachowania, różnice między dziećmi w Tanzanii a w Polsce?

Na pewno mamy inną kulturę, ale uważam, że dzieci prawie wszystkie są podobne. Widać charakter dzieci, one są takie same: spontaniczne, najpierw może nie chcą czegoś robić, ale z czasem zmieniają zdanie. Kiedy odpowiadają na różne pytania to dają takie szczerze i spontaniczne odpowiedzi. Uważam, że dzieci są prawie takie same. Może różne jest ich środowisko, zabawy, o które pytałaś, ale to jak reagują, jak żyją, jakie mają charaktery jest chyba podobne.



A jak czas wolny spędzają starsi, młodzież na studiach, w liceum? W Polsce takie typowe jest chodzenie do kin czy na dyskoteki.

To dobre pytanie. U nas, tak jak mówiłem, z mojego doświadczenia, ja mieszkałem tam na wsi i nie wiedziałem, co to jest kino. Ale kiedyś było takie wydarzenie, gdzie puszczano filmy. Ludzie się zjeżdżali, trzeba było zapłacić, żeby wziąć udział. Młodzi chodzą też do różnych klubów piłkarskich. Czasem też w wolnym czasie jeżdżą do miast i uczą się tego, czego nie mogli u siebie z powodu braku nauczycieli lub tego, czego nie zdążyli przerobić, nauczyć się w roku szkolnym; później nadrabiają w wakacje.

Co młodzi ludzie w Tanzanii lubią jeść, co jest ulubionym przysmakiem? W Polsce na przykład popularny jest McDonald's albo pizza.

Ulubiony to ryż. My bardzo lubimy ryż. Oprócz tego mięso, różne rodzaje. Ale to też jest chyba kwestia możliwości. Ja na przykład z moim doświadczeniem nie wiedziałem co to jest McDonald's. Będąc z wioski, z miasteczka, nie wiedziałem co to jest, nie znałem też pizzy. Dlatego ten wybór jest powodowany środowiskiem. Masz taką opcję i nie ma innego wyjścia. Na wsi ludzie robią jedzenie z mąki, kukurydzy gotowanej w wodzie i to się nazywa *ugali*. To można jeść z fasolami albo z mięsem. Może być wołowina, wieprzowina, baranina itd. Ludzie, którzy mieszkają w miastach blisko jezior – mamy jeziora *Wiktoria*, *Tanganika* – łowią. Bardzo preferują rybę. W innych miejscach, na przykład gdzie dużo uprawia się bananów, robi się z nich wiele potraw. Można robić banany na grillu, tak samo jak mięso.



Czasem się je gotuje, ale do tego musi być specjalny gatunek; nie wszystkie banany można gotować. Na niektóre trzeba czekać aż będą żółte, gotowe do jedzenia, a inne zostają zielone i je można gotować. Coś można z tego robić do picia. W innych miejscach uprawiany jest *maniok*, jest i dużo ziemniaków, są słodkie ziemniaki, bataty. Młodzi ludzie bardzo lubią też frytki. Są takie miejsca, bary, gdzie można kupić frytki same albo z jajkami, można pić coś: kawę, herbatę, jeść na przykład pączki. Ale są to inne pączki niż tu w Polsce, chociaż podobne. Pizze można znaleźć w dużych miastach takich jak na przykład *Dar es Salaam*, *Mwanza*, *Mbeya*, tam w centrum. W innych miejscach ludzie mogą nawet nie wiedzieć, co to jest albo mieć inną nazwę.

Jak wygląda wychowanie w Tanzanii; relacja dziećmi z rodzicami, z rodzeństwem?

Dzieci mają szanować rodziców, bo inaczej można dostać (śmiech). Potem zaczynają rozumieć, że za nieposłuszeństwo czeka na nich jakaś kara. Niektóre się buntują, ale większość stara się słuchać, szanować rodziców. Z kolei rodzice starają się robić tak, aby dzieci były grzeczne. Między rodzeństwem też jest piękna relacja. Na przykład różne rodziny, rodzice na wsi uprawiają ziemię albo pracują, robiąc coś z drewna; wtedy to najstarsze dzieci mają zajmować się młodszymi. Budują takie relacje – to jest mój brat, moja siostra, więc mam jej, jemu pomagać.

A czy ksiądz ma dużo rodzeństwa?

Tak, mam dwóch braci, dwie siostry, a ja jestem drugim synem, dlatego miałem też takie doświadczenie w zajmowaniu się rodzeństwem – młodszym bratem i dwoma najmłodszymi siostrami. Po między nami nie ma takiej dużej różnicy wieku, około trzy lata. Czasami zajmowanie się młodszym rodzeństwem jest trudne, bo na przykład ktoś ma sześć lat, a młodszy brat lub siostra cztery lata. To jest prawie podobny wiek, nie ma dużej różnicy. I kiedy czasami najmłodszy płacze, starszy nie wie co ma zrobić.

Jak się ubierają młodzi ludzie w Tanzanii, jaka panuje moda?



Pamiętam, że za moich czasów wśród młodych chłopców była moda na spodnie uszyte w konkretny sposób, ale większość ludzi nosi to, co znajdzie, kupi w markecie. W prawie każdej szkole są mundurki. Każda szkoła ma inne, na przykład czarne spodnie i białe koszule. Niektóre dzieci mają swetry z flagą Tanzanii. W szkole nie można mieć dowolnych ubrań, wszyscy mają jednakowe. I to jest piękne też, bo wtedy uczniowie sobie nie zazdroszczą, nie ma kłopotów, że ktoś się porównuje i myśli, że ktoś inny jest lepiej ubrany. Pięknie jest zobaczyć, że wszyscy mają podobne ubrania.

My Afrykę tak naprawdę znamy z tego, co gdzieś usłyszymy, zobaczymy w filmach czy na zdjęciach. A jakie w Tanzanii panuje wyobrażenie o Polsce, Europie?

To prawda, często tę wiedzę bierze się ze zdjęć, filmów. Tutaj, gdy mówisz „Europa”,



to dla nas jest jak jeden kraj, czyli do głowy nie przyjdzie, że w tym jest i Polska, i Włochy, inne kraje. Myślisz o Europie jak o jednym kraju. Tak samo niektórzy myślą o Afryce, że jest jak jeden kraj, a jest bardzo różna. I tak i ja myślałem przed wyjazdem do Włoch i do Polski. Gdy jestem na misji widzę te różnice między krajami. Obrazy, jakie przychodzą na myśl odnośnie Europy, to na pewno wszyscy wiemy, że jest tam duży rozwój, prawie wszystko jest dobrze, tak jak w raju. Przed wyjazdem, nie znając Europy, myślałem, że tam nie ma drzew, że wszystko jest zabudowane. Tylko domy, fabryki, drogi. Nie wyobrażałem sobie, że można znaleźć drzewo albo las w Europie.

Czy chętnie wspomina ksiądz okres dzieciństwa? Ma ksiądz jakieś ciekawe wspomnienia, którymi chciałby się podzielić?

Pamiętam wieczory, gdy spędzaliśmy razem czas przy ogniu. Rodzice byli wtedy w domach. U nas wszystko robimy z drewna, dlatego tylko czasem wieczorem można używać lampki, żeby coś oświetlić. Tam, gdzie mieszkałem, nie było prądu, dlatego siedzieliśmy przy ogniskach. Czasami, gdy było ciemno, szliśmy się bawić. Śpiewaliśmy, biegaliśmy. Potem zdarzało się wracać trochę za późno i wtedy rodzice zaczynają wołać, szukać dzieci, na przykład u sąsiadów. Momentami było ciężko, ale z tęsknotą wspominam ten piękny czas. Pamiętam swoich przyjaciół, z którymi byliśmy razem. Było na przykład kilku chłopców z różnych rodzin, które też miały kozy. Niektórzy mieli dziesięć, inni siedem. I chodziliśmy razem je paść. Ustalaliśmy, kto pójdzie w którą stronę. Można się przez to też nauczyć życia z innymi, to piękne doświadczenia.

Na koniec chciałam spytać, czego według księdza nasze kultury mogą się uczyć od siebie nawzajem?

Ja uważam, że macie bardzo piękną i bogatą kulturę, z której ja mogę się wiele nauczyć od was. Ale i wy możecie się uczyć od nas; na przykład radości, śmiałości. Robić coś, nawet jeśli nie wiem, co będzie dalej. Z odwagą. Nie skupiam się na tym co będzie, wyrzucam się na sytuację i co będzie, to będzie. Także inne drobne rzeczy: tańczyć, ruszać się. Piękne jest to, że możemy uczyć się od siebie nawzajem. Ważne, by być otwartym.

Dziękuję bardzo księdzu za tę rozmowę, za wszystkich zainteresowanych bliższym poznaniem księdza Ditricka oraz jego współbrata, wspomnianego wyżej księdza z Argentyny, Juana Carlosa, zapraszamy do obejrzenia filmiku na YouTube pt. „Śledź Swojego Misjonarza – odc.4 – Misjonarze ze Zgromadzenia Matki Bożej Pocieszenia” na kanale „Diakonia Misyjna Białystok”.

Natalia Woroniecka



Oblicza tradycyjnego teatru japońskiego - bunraku

To, co nieznanne, człowieka intryguje niemal od zawsze. Przejawia się to chociażby w zafascynowaniu odmienną kulturą, na przykład orientalną, która powiewem świeżości wydawała się spragnionym inspiracji twórcom na przestrzeni wielu lat. Dziś jej wpływy dostrzegalne są w literaturze (choćby romantycznej), języku polskim, na co wskazuje obecność orientalizmów, a także w teatrze. Zachodnia scena teatralna tą fascynację przechodziła, gdy swego czasu usilnie próbowano przeciwdziałać kryzysowi za pomocą tradycyjnych wzorców wschodnich. Nic zresztą dziwnego - jest przecież z czego czerpać.



Źródło: bccjacumen.com

Jednym z najciekawszych rodzajów tradycyjnego teatru japońskiego jest bunraku - połączenie teatru lalkowego z akompaniamentem instrumentu zwanego shamisenem. Powstał w XVII wieku w Osace. Na początku prosta forma bunraku polegała na opowiadaniu widzom historii i pokazywaniu im ilustracji, które z czasem zostały zastąpione przez lalki o nazwie bunraku-ningyō. Ich animowaniem zajmują się ningyō-zukai - aktorzy piastujący miejsce na specjalnie obniżonej scenie, zazwyczaj sięgającej im do pasa. Pozwala im to na swobodne operowanie lalkami, a dzięki temu, że dolna część ciała pozostaje zakryta, powstają dodatkowe efekty dźwiękowe – przyodziani w geta (tradycyjne obuwie japońskie) ningyō-zukai wybijają nimi rytm w najbardziej dramatycznych momentach sztuki. Twarze głównych aktorów pozostają odsłonięte, jednakże według tradycji nie mogą mieć żadnego wyrazu – wzbudzanie emocji w widzu należy do kompetencji narratora i akompaniatora. Drugoplanowi aktorzy przyodziani są natomiast w czarne kaptury, całkowicie ich zasłaniające.

Aby zostać aktorem bunraku, należy do zawodu zacząć przygotowywać się stosunkowo wcześnie, bo w wieku piętnastu lat. Po dziesięciu latach nauki, upływających zgodnie z tradycyjną zasadą mistrz-praktykant, uczeń gotowy jest na odgrywanie ról drugiego aktora pomocniczego (ashi-zukai), który animuje nogi postaci. Następne dziesięć lat nauki fachu daje w pełni opanować funkcję pierwszego aktora pomocniczego (hidari-zukai), zajmującego się lewą ręką lalki. Główna rola (omo-zukai) przypada natomiast prawdziwemu mistrzowi, który operuje tułowiem, głową i prawą ręką lalki.

Animowane przez trzech aktorów lalki bunraku-ningyō zazwyczaj mają wielkość 1/3 lub 4/5 rozmiarów ludzkich. Ich głowy często posiadają elementy ruchome, takie jak oczy i usta. Jeśli sztuka przedstawia świat o elementach nadprzyrodzonych, często wymagana jest



przemiana bohatera (na przykład kobiety w demona). Używa się wtedy lalek umożliwiających właśnie taki zabieg. Animacja bunraku-ningyō nie jest niczym łatwym: nie dość, że w tym procesie potrzeba trzech aktorów, muszą oni ze sobą szczególnie współpracować, na przykład poprzez synchronizację oddechu.

Opowiadaniem historii w bunraku leży w kompetencji tayū – wykwalifikowanego narratora, zajmującego miejsce na specjalnej scenie obrotowej (yuka). Dobrany zostaje w parę z shamisen-hiki, czyli akompaniatorem. To najważniejsze funkcje bunraku, istotne do tego stopnia, że dawniej para ta nieustannie spędzała ze sobą czas, aby osiągnąć tak zwany stan „wspólnego umysłu”. Mają oni wzbudzać emocje w widzu, a także dbać o atrakcyjność przedstawianej historii. Warstwą dźwiękową oprócz akompaniatora grającego na shamisenie zajmują się również perkusiści, grający na bębnach taiko. Czasami ich liczba zostaje zwielokrotniona, aby udoskonalić sztukę i spotęgować wrażenie w odbiorcy.

Pierwotnie opisywany rodzaj teatru nosił nazwę „ningyō-jōruri”, na pamiątkę ukochanej japońskiej bohatera narodowego – Yoshitsune Minamoto. To właśnie Jōruri była główną bohaterką pierwszych sztuk teatralnych. Z czasem ich tematyka zmieniła się i została urozmaicona, a teatr zyskał nową nazwę – bunraku. Jej etymologia związana jest z teatrem Bunraku-za w Osace. Z czasem zaczęto tak określać ten rodzaj teatru w ogóle.

Bunraku odgrywa rolę bardzo istotną nie tylko w japońskiej sztuce, ale i tradycji. Dziś stał się pamiątką, udokumentowaniem barwnej umysłowości przodków. Wraz z rokiem 2003 został proklamowany Arcydziełem Ustnego i Niematerialnego Dziedzictwa Ludzkości, natomiast w 2008 pod swoje skrzydła wzięła go organizacja UNESCO, wpisując bunraku na swoją listę niematerialnego dziedzictwa. Piękno tego teatru mimo upływu lat pozostaje niezmiennie dostrzegane oraz doceniane, a tradycja dumnie kultywowana, chociażby przez Narodowy Teatr Bunraku w Osace. Ale nie tylko: barwne stroje lalek, niezwykle utalentowani aktorzy i intrygujący akompaniament wzbudzają zachwyt i pragnienie odtworzenia ich na całym świecie, między innymi w Polsce. W takim razie z całą pewnością można powiedzieć, że subtelne bunraku nie tylko zachwyca, ale i inspiruje!

Maria Nejman



Utamaro Kitagawa, "Flowers Of Edo"



Legendarna herbata w chińskim stylu

Sama herbata kryje w sobie wiele tajemnic i niespodzianek, jednak dla kultury Chińskiej jest to skarb wpływający na każdy aspekt ich życia, owiany wieloma legendami. Mieszkańcy Państwa Środka są mistrzami w dodawaniu codziennym przedmiotom głębi, warstw oraz specjalnych znaczeń, a ten aromatyczny napój nie jest wyjątkiem.

Zagłębiając się w kulturę tego kraju, człowiek szybko zdaje sobie sprawę, że powiedzenia, legendy o cesarzach lub przysłowia to chleb powszedni. Każdy aspekt kultury ma swoją historię, jakieś bajkowe wytłumaczenie i magiczną nazwę. O samej herbacie można znaleźć ich dziesiątki. Nic dziwnego, ponieważ jest to ogromne dziedzictwo kulturowe Chin, a z pierwszym zaparzeniem herbaty w 2737 r. p.n.e. wiąże się ciekawa historia.

Mityczny cesarz Shennong, który nauczył ludzi sztuki, rolnictwa oraz dał im ogień, podróżując po świecie, kosztował najróżniejsze zioła, aby poznać ich działanie. Wiele z nich było trujących, jednak on jako nieśmiertelny, nie obawiał się śmierci. Musiał jedynie znaleźć sposób na strawienie toksyn, które dostawały się do jego organizmu. Pewnego razu, gdy czuł się bardzo źle, położył się w cieniu drzewa i ustawił na ogniu kociołek z wodą. Nie wiedział on, że drzewo, które wybrał było herbacianym. Wraz z podmuchem wiatru do wrzącej wody wpadło kilka listków, które po zaparzeniu stworzyły przyjemny napar o leczniczych właściwościach. Wypił go i w przeciągu chwili poczuł się jak nowonarodzony i zachwyił się nowo poznaną rośliną. Od tej pory zawsze nosił przy sobie zbawienne liście herbaty, a legenda mówi, że miał w zwyczaju pić ją nawet 70 razy dziennie!



Źródło: morzeherbaty.pl

Dość powszechnym mitem na temat herbaty jest przekonanie, że każdy jej rodzaj pochodzi od innej rośliny lub odmiany. Nie jest to takie proste. Podstawowe, najbardziej popularne rodzaje to herbata czarna, zielona, biała, czerwona (pu-erh), żółta i niebieska (oolong). Rzecz, która je rozróżnia to procesy jakim poddawane są liście, jakie części drzewa herbacianego są wykorzystywane oraz w jakim czasie są zbierane. A przez wieki ważny był również fakt przez kogo herbata jest zbierana.



Chińczycy szybko odkryli, że otaczające herbatę aromaty, mają duży wpływ na jej smak i zapach, również w trakcie zbiorów. Zatem wymagania, aby zostać zbieraczem były bardzo wysokie. Musiały być to kobiety, które w diecie unikają ostrych przypraw, czosnku, cebuli i ryb oraz są nienagannie zdrowe, zadbane i czyste. Z czasem do listy wymagań doszło dziewictwo. Czystość musiała być zachowana w każdym aspekcie życia. Jednak to nie wszystko. Zbieraczki musiały mieć bardzo długie,



wypielęgnowane paznokcie, imitujące szczypce, które pomagały przy obcinaniu najmniejszych listków. Herbata nie mogła mieć kontaktu z ich skórą, dlatego obowiązkowym było noszenie białych, jedwabnych rękawiczek z dziurami tylko na paznokcie. W niektórych rejonach Chin taki sposób zbioru jest nadal kultywowany i jak można się domyślić, jej produkcja jest ograniczona, a cena bardzo wysoka.

Historie w tym temacie są nieskończone, a same procesy niesamowicie kompleksowe. Zgłębiając się w historię tak niepozornej, codziennej, łatwo dostępnej rzeczy możemy odkryć i spróbować zrozumieć skomplikowane dzieje Chin, które swoją różnorodnością, warstwowością i uniklanością porywają serca wielu.

Emilia Łapuć



Źródło: herbaciara.pl



Konflikt ról kobiet w Korei Południowej

Czy wyobrażamy sobie stanąć przed wyborem, od którego będzie zależeć całe nasze życie? Decyzji, której już nigdy nie będziemy mogli zmienić? Dla kobiet w Korei Południowej to brzemię zbyt dobrze znane. Muszą wybrać między rodziną a karierą. Jakby położyć oba pojęcia na szali, żadne nie wyda nam się lepsze bądź gorsze. Zarówno życie kobiety pełniącej rolę matki, gospodyni, jak i życie kobiety robiącej karierę, niesie za sobą wyzwania i poważne konsekwencje.



Źródło: bankier.pl

Koreanka a praca

Postawmy się w roli kobiety robiącej karierę. Dlaczego nigdy nie zdecydujemy się na dzieci? Przecież kobiety w Polsce pracują, zajmują się domem, mają dzieci. Czy Koreanki są zbyt leniwe? Otóż nie. Są dużo silniejsze niż nam się wydaje. W Korei Południowej panuje wyścig szczurów. Ludzie prześcigają się w coraz lepszych kompetencjach. Przyczyną tego jest ogromne zaludnienie – wiele osób jest gotowe podjąć dane stanowisko, ale przecież tylko jedna osoba je dostanie. Przez to wygrywa człowiek nie tylko kompetentny, ale również ten, który jest w stanie poświęcić się pracy. W kulturze koreańskiej normą jest stawianie pracy jako wartości nadrzędnej. Często ich przyszli szefowie, sami zdecydowali się na brak rodziny. Praca jest nadrzędna. Kobiety mogą spodziewać się pytania o posiadanie lub plan posiadania dzieci oraz czy ich mąż pozwala im na pracę. Wybranie dzieci skutkuje postawieniem ich nad pracą oraz utraty cennych lat doświadczenia. Dla kobiet, które wybrały rodzinę, nawet jeśli wcześniej były niezwykle zdolne i miały szeroki zakres doświadczeń, dostanie pracy graniczy z niemożliwym.

Zatrudnienie w liczbach

Panuje ciekawa zależność między zakończeniem nauki na uniwersytecie a podjęciem pracy zawodowej wśród kobiet. Więcej (!) dziewczyn, niż mężczyzn kończy uniwersytety, ale mimo to Korea w 2011r. plasowała się na ostatnim miejscu wśród krajów OECD, jeżeli chodzi o zatrudnienie kobiet z wyższym wykształceniem. Odsetek wynosił 60%,



kiedy średnia OECD była na poziomie 79%. Blisko 30% Koreanek pracowało na kontrakcie tymczasowym, przy średniej OECD na poziomie 12,5%. Tylko 1,4% kobiet było na stanowiskach kierowniczych. Koreańczycy, uważają, iż praca żony jest ujmą na honorze męża. To on ma zarabiać na rodzinę, zapewnić jej byt. Matka ma być przy dzieciach, wychować je odpowiednio. Tak jest „zgodnie z naturą” według Koreańczyków (oczywiście z punktu widzenia mężczyzn). Społeczeństwo również traktuje inaczej mężczyznę, którego żona pracuje (oczywiście w mało korzystny dla niego sposób). Czas pracy znacząco wpływa na życie osobiste. Koreańczycy spędzają od 10 do 18 godzin dziennie w pracy. Doliczmy do tego czas na regenerację. Jeśli ktoś pracuje 10 godzin dziennie to po dodaniu 8 godzin na odpoczynek, zostaje mu tylko 6 godzin czasu wolnego. Jednakże trzeba jeszcze odliczyć czas na jedzenie, higienę, dojazd. Jeśli ktoś pracuje 18 godzin dziennie to na życie osobiste czasu mu nie starczy. Co jednak, kiedy pojawi się dziecko i kobieta utrzyma się na rynku pracy? Jedynym wybawieniem stają się dziadkowie, a dokładnie babcia. Zazwyczaj w takiej sytuacji mama jednego z małżonków (zazwyczaj kobiety) przeprowadza się do młodej pary i wychowuje dane dziecko. Możliwy jest również scenariusz, że dziecko „przeprowadza się do dziadków” i jest zabierane przez rodziców tylko na weekend.

Kobieta jako matka

Geneza tego wyboru jest bardziej zawiła niż nam się wydaje. Kobiety wychowuje się na żony, nie na kobiety sukcesu. Od małego są zależne od ojca, później od męża. Widząc tylko taki typ rodziny, gdzie żona służy mężowi, dziewczynki podświadomie przejmują tylko te postawy. Po ślubie, żona „przechodzi” do rodziny męża. Teraz jest podległa mu. Musi urodzić dzieci, gotować, sprzątać oraz dbać o małżonka.

Również teściowie stają się jej dodatkowym „obowiązkiem”. Musi sama do nich pojechać, posprzątać, pozmywać. Co się z tym wiąże, nie tylko macierzyństwo jest przeszkodą do podjęcia pracy zawodowej, ale również rodzina męża, która często zakazuje kobiecie podjęcia etatu. Święta również ukazują wyższą pozycję mężczyzn. Odpowiednik Walentynek „White Day” („Biały dzień”), który obchodzi się 14 marca jest swego rodzaju odwróceniem dobrze znanego amerykańskiego święta. To kobieta wręcza prezent mężowi, najlepiej własnoręcznie zrobione czekoladki. A mężczyzna jeśli zechce (!) może jej się odwdziżyć kwiatami. To ona wykonuje pierwszy krok, pierwsza wręcza prezent, pierwsza zadba o mężczyznę, a on ewentualnie, jeśli kobieta zasłuży, może jej się odwdziżyć. Uważam, iż to również jest przejaw pozycji, jaką pełni kobieta w społeczeństwie. Partnerstwo w związku jest czymś nieistniejącym, wyimaginowanym. Przez miejsce kobiety w rodzinie, coraz mniejsza ich ilość decyduje się na dzieci. W 2019 współczynnik dzietności wyniósł 0,92 i był najniższy na świecie.

Ciekawy jest również fakt, iż koreańskie władzę zachęcają Koreańczyków do brania ślubu z cudzoziemkami, głównie Wietnamkami. Istnieją również specjalne biura matrymonialne, które się w tym specjalizują. Niestety po ceremonii, gdy zaczyna się



Źródło: polityka.pl



prawdziwe życie, wiele kobiet pada ofiarą przemocy domowej. Badania przeprowadzone w 2017 roku przez Krajową Komisję Praw Człowieka ukazują, iż 42% żon pochodzących z innych krajów przyznaje, że doświadczyła przemocy domowej na poziomie fizycznym, werbalnym, finansowym i seksualnym.

XXI wiek

Mimo XXI wieku, wciąż istnieją kraje, gdzie kobietę traktuje się tylko jako dodatek do mężczyzny. Niebezpieczne kanony piękna, powstałe, by podobać się partnerowi i wyjść godnie za mąż, wciąż są zmorą wielu Koreanek. W Azji charakterystyczną cechą wyglądu jest podwójna powieka (mongolska powieka). Mimo, iż jest naturalna i nie niesie za sobą żadnych wad genetycznych, to uważana jest za nieatrakcyjną. Kobiety poddają się drogim operacjom plastycznym wycięcia części powieki. Mniej zamożne Koreanki decydują się na zakup specjalnych plastrów, które służą ukryciu podwójnej powieki. Szczęka w kształcie litery V, również jest bardzo pożądaną cechą wyglądu. Niestety kobiety w Korei posiadają raczej twarze okrągłe, więc poddają się kolejnej operacji zmienienia kształtu buzi.

Czy brak konfliktu ról jest możliwy?

Oczywiście, że tak. Społeczeństwo Korei nieprzerwanie się zmienia, ale żadna diametralna zmiana nie następuje od razu. Do zmiany mentalności i postrzegania świata trzeba wielu lat mozolnej pracy kobiet oraz ich wytrwałości w dążeniu do lepszego bytu. Trudno jest zmienić coś, co tkwiło w kulturze przez setki lat. Część Koreanek zdecydowanie może liczyć na większą swobodę niż miały ich babki. Myślę, że jeszcze długa droga do pełnej wolności kobiet. Ciężko walczą o lepszą pozycję w społeczeństwie, gdy są tak „zepchnięte” na bok.

Zuzanna Żukowska



Isla del sol - Wyspa słońca

Boliwia - „przystań” dawnej Ameryki Łacińskiej. Na terenie jednego państwa ścierają się: kultura zachodniemieckich Amiszów, dla których jest ono jedynym miejscem, do którego wyemigrowali ich przodkowie, wierzenia różnych, często wrogich sobie plemion oraz katolicyzm, stanowiący dominujące wyznanie w Boliwii. W artykule tym przeniesiemy się na Isla del sol, wyspę będącą przestrzenią konfliktu dwóch indiańskich plemion - Challa i Challapampa, które podzieliły ten ośrodek inkaskiej kultury na dwie odizolowane od siebie części.



Wyspa słońca to miejsce, które, według legend Inków, było kolebką pierwszych Inków: Manco Capac oraz jego siostry, a zarazem żony Mama Ocollo - bogini płodności. Na Isla del sol narodzić się miało również najwyższe bóstwo w inkaskim panteonie - Inti, zwany również Apu Punchau, będący bogiem słońca i synem stwórcy całego świata - Wiarkocza. Tereny te zamieszkują ich potomkowie, plemiona Yumani, Challa oraz Challapampa. Aby przedostać się na Isla del sol, musimy przejechać rozległe tereny płaskowyżu Altiplano, gdzie temperatura względem reszty kraju spada aż o kilkanaście stopni. Znajdując się na imponującej wysokości 3500 metrów nad poziomem morza, niemożliwa do uniknięcia jest choroba wysokościowa, na którą „antybiotykiem” są sprzedawane w autobusach liście koki. Kiedy dotrzemy już do północnej części kraju, czeka nas kilkugodzinna podróż motorówką przez malownicze obszary jeziora Titicaca.

Po dotarciu do celu naszej podróży, naszymi przewodnikami po wyspie najprawdopodobniej staną się członkowie plemienia Yumani, którzy nastawieni są na zarobek poprzez turystykę. Znajdujemy się w południowej części wyspy, zamieszkałej przez wyżej wspomniane przez mnie plemię. Ani środkowa część Isla del sol, zamieszkiwana przez plemię Challa, ani część północna należąca do plemienia Challapampa obecnie nie są możliwe do zwiedzania. Wynika to z prowadzonej przez oba plemiona wojny ekonomicznej, ciągnącej się od roku 2017. Konflikt ten zapoczątkować miało wznoszenie domków turystycznych w środkowej części wyspy, których budowa przebiegała bardzo blisko miejsca

uznawanego przez jej mieszkańców za święte. Plemię Challapampa uznała to działanie za świętokradztwo i zażądała jego zaprzestania. Gdy ich prośby nie przyniosły oczekiwanego efektu, pod budynki podłożony został dynamit, a w odwecie członkowie plemienia Challa, zamknęli drogę, zabraniając tym samym odwiedzania północnej części wyspy. Przejścia pilnuje rozstawiona wzdłuż granicy lokalna milicja z plemienia Challa. Drugim powodem, który był głównym przyczynkiem rozpoczęcia wojny, były skrajne nierówności w zarobkach, podczas gdy



członkowie plemienia Challapampa zarabiali średnio 99 bolivianos dziennie, zarobek mieszkańców środkowej części wyspy wynosił jedynie 1 boliviano.

Na Isla del sol znajduje się wiele pozostałości inkaskiej kultury. Szlaki Inków udostępnione dla turystów znajdują się w południowej części wyspy. Wędrując tymi trasami na swojej drodze spotykamy punkt widokowy „Palla Khasa”, z którego naszym oczom ukazuje się krajobraz północnej części wyspy oraz leżąca w pobliżu wyspa księżycowa, na której terenie znajdują się ruiny klasztoru kapłanek słońca, uznawane przez miejscowych za miejsce święte. Po drodze natykamy się również na liczne kamienne figury i ołtarze. Najważniejsze ośrodki wierzeń inkaskich znajdują się w północnej części Isla del sol. Są to miejsca takie jak „Roca Sagrada”, czyli „Święty kamień”, symbolizujący miejsce narodzenia boga słońca - Inti oraz ceremonialny stół - „Mesa sagrada”.

Wiktoria Korolczuk



Źródło: urbanflavour.pl



Sen o Księżycu



Źródło: wikipedia.org

Ludzi od zawsze fascynował Księżyc. Jego blade światło przelamujące mrok nocy sprawiało, że roztaczał on aurę tajemnicy i niezwykłości. Nadawano mu niezwykle znaczenie. Jedyny naturalny satelita naszej planety był istotnym elementem w wielu legendach, na przykład opowieści o panu Twardowskim. Pojawiło się marzenie, aby przekonać się, co naprawdę znajduje się na Księżycu. Ponieważ mój artykuł ma dotyczyć Stanów Zjednoczonych, a nie ma wielu bardziej amerykańskich rzeczy niż podbój Księżyca, więc postaram się pokrótce opowiedzieć jak wyglądała droga człowieka na Srebrny Glob.

W Latach 60. XX wieku trwała Zimna Wojna. Toczyły się walki w Wietnamie, a ludzie bali się kolejnego konfliktu zbrojnego, takiego jak II wojna światowa. 25 maja 1961 roku (w tym miesiącu wypada okrągła 60 rocznica!) John F. Kennedy w swoim przemówieniu „We choose to go to the Moon” poprosił Kongres o przyznanie finansowania programowi lotów kosmicznych. Kongres przychylił się do jego prośby i zaczęto prace nad wysłaniem człowieka na Księżyc. Astronautami byli piloci myśliwców. 20 lipca 1969 roku załoga Apollo 11 wylądowała na powierzchni satelity Ziemi.

Często, oglądając zdjęcia i nagrania z pierwszej udanej wyprawy na Księżyc, nie zastanawiamy się nad tym, jak bardzo ryzykowne było to przedsięwzięcie. Jest tak, ponieważ znamy już zakończenie tej wyprawy, wiemy, że wszyscy bezpiecznie wrócili na Ziemię. Jednak po zagłębieniu się w tę historię, okazuje się, że wszyscy przygotowywali się na najgorsze. Przy starcie nie mogły być obecne żony astronautów, ponieważ gdyby coś poszło źle, to ich emocjonalna reakcja po utracie mężów mocno zniechęciłby społeczeństwo do podboju Księżyca. Bliscy astronautów obserwowali wszystko na ekranach telewizorów w swoich domach. Michael Collins okrążył Srebrny Glob w czasie, kiedy reszta załogi tam lądowała. Największą obawą Collinsa było, że jego towarzyszym nie uda się wystartować i dołączyć z powrotem do niego. Oznaczałoby to, że musiałby powrócić samotnie na Ziemię ze świadomością, że zostawił ich na śmierć. Nie wiadomo także czy powierzchnia Księżyca nie osunie się pod ciężarem kapsuły.

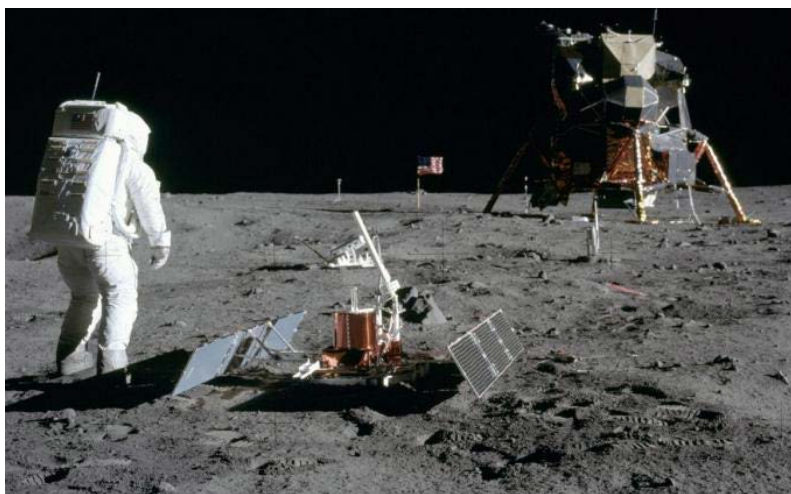


„To mały krok dla człowieka, ale wielki skok dla ludzkości”. Ten tekst zna każdy (podobno Armstrong myślał nad nim przez cały czas spędzony na Księżycu, przed wyjściem z kapsuły). Ludzie na całym świecie obserwowali to na ekranach swoich telewizorów. Istnieją teorie, że początkowo jako pierwszy miał wyjść nie Armstrong, ponieważ był on dowódcą, ale Buzz Aldrin. Jednak Neil wykorzystał swoje znajomości i dlatego dostał tego zaszczytu. Aldrin miał to za złe Armstrongowi i obrażony nie chciał robić na Księżycu zdjęć swojemu dowódcy, więc tamten musiał to na Buzzie wymóc. Jeśli imię Buzz kojarzy się wam z pewną kosmiczną zabawką, to macie rację. Właśnie na cześć Aldrina twórcy „Toy story” nazwali Buzza Astrala (za co astronauta ich potem pozwali). Obawy organizatorów całej wyprawy nie kończyły się po bezpiecznym powrocie załogi na Ziemię. Astronauci musieli odbyć kwarantannę i przez kilkanaście dni przebywali w izolacji na wypadek, gdyby przywieźli ze sobą jakieś nieznanne, niebezpieczne bakterie.

Łącznie na Księżycu swoją stopę postawiło 12 ludzi. Większość osób zna Armstronga, ewentualnie „tego drugiego”, czyli Aldrina. Ostatni lot w ramach programu Apollo miał miejsce w grudniu 1972 roku. Zakończenie programu było związane z coraz większą niechęcią społeczeństwa i Kongresu. Program generował ogromne koszty a uważano, że nie przynosi oczekiwanych korzyści. Co się działo z astronautami po powrocie na Ziemię? Podróż na Księżyc zmieniała całe ich życie. Dla niektórych cała podróż była wręcz metafizycznym doświadczeniem. Niestety księżycowa przygoda nie zawsze wpłynęła pozytywnie na losy astronautów. Wielu z nich zmagало się z alkoholizmem, rozpadem rodziny. Niektórzy odcinali się od lotów na Księżyc, inni działali w celu wznowienia ich. W jednym momencie ze zwykłych ludzi stawali się celebrytami. Było to uciążliwe szczególnie dla załogi Apolla 11. Musieli oni unikać podpisywania się, ponieważ czasami wyłudzone od nich autografy znajdowali później na aukcjach.

Wielu astronautów biorących udział w wyprawach na Księżyc już nie żyje. W dniu, kiedy wprowadzałam ostatnie poprawki do swojego artykułu dotarła do mnie smutna informacja o śmierci Michaela Collinsa. Zmarł 28 kwietnia w wieku 91 lat.

Dla mnie i myślę, że dla wielu innych osób podbój kosmosu, w tym Księżyca jest fascynującym tematem. Budzi sporo kontrowersji, ale bardzo oddziałuje na wyobraźnię. Myślę, że wyraża się w tym chęć człowieka do poznania tego, co jeszcze nieodkryte oraz do łamania barier związanych z byciem człowiekiem. To coś jak odwieczne marzenie o lataniu jak ptak.



Źródło: scienceinpoland.pap.pl

Ewa Balcerzak





Redaktor naczelny

Kinga Krutul

Dziennikarze

Ewa Balcerzak, Julia Strankowska, Emilia Łapuć, Michał Matur,
Wiktoria Korolczuk, Zuzanna Żukowska, Jakub Kloza, Karol Jamróż,
Maria Nejman, Natalia Woroniecka

Grafik

Dominika Czajkowska



